



BOLESŁAW PRUS

---

# Na Saskiej Kępie

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

BOLESŁAW PRUS

# *Na Saskiej Kępie*

Bardzo byłbym rad<sup>1</sup> poznać nazwisko i mieszkanie tak płoczej<sup>2</sup> osoby, która by poważyla się twierdzić, że panna Maria nie jest najprzyjemniejszą szatynką, jakie istniały kiedykolwiek między jej imienniczkami, posiadały szare oczy, 50 tysięcy posagu w listach zastawnych i ubierały się w suknię koloru zgniłego siana? Powtarzam: rad bym bardzo poznać tak lekkomyślną osobę, nie dlatego, broń Boże, aby okaleczyć lub nadwyrężyć jakąś część jej ciała, lecz po prostu dlatego, aby ją spytać: czy nie sądzi przypadkiem, że wahadłowy chód pani Radczyni (mamy) nie jest dość majestatyczny albo,

---

<sup>1</sup>rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>płochy (daw.) — lekkomyślny, niestały w uczuciach. [przypis edytorski]

że szczupły pan Radca (ojciec) nie jest dostatecznie napełniony godnością i powagą, która rozciąga się od najniższego punktu jego obcasów do najwyższego punktu jego kapelusza, nadaje politurowy blask jego łysinie i omal że nie wytryskuje spoza stojącego i silnie wykrochmalonego kołnierzyka?

Szczęściem dla naszego miasta, w Warszawie podobnych gburów nie ma. Toteż nie dziw, że szanowni Radcostwo i ich ponętna jedynaczka, idąc wzdłuż nadwiślańskiego wału ku stacji czółen, przewożących na Saską Kępę, spotykają w drodze same tylko fizjognomie<sup>3</sup>, wyrażające głęboki podziw lub szczerą sympatię dla tak dobranej rodziny. Nie dziw też, że dobranej tej rodzinie towarzyszy pan Karol, brylant młodzieży, najwykwintniejszy z Karolów, jacy kiedykolwiek nosili ciemne marynarki, jasne spodnie, bogate fryzury i wzmacniali naturalne wdzięki obfitymi dozami fiksatuaru<sup>4</sup> i wonnych olejków. Nie dziw wreszcie, że świetne

---

<sup>3</sup>*fizjonomia* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*fiksatuár* (daw.) — brylantyna. [przypis edytorski]

to grono doskonałych osób znakomicie ubawić się może na Saskiej Kępie, choć niestety! Akompaniuje im blady i uczony a daleki kuzyn panny Marii, pan Adolf, który z jednakowym chłodem traktuje majestatyczność pani Radczyni, jak stojące kołnierzyki pana Radcy, jak pędzelkowate wąsiki pana Karola, a w końcu: wdzięki i posag uroczej panny Marii.

Wykwintny Karol zbyt jest pewny swego stanowiska, aby miał lękać się bladego i obojętnego Adolfa, niemniej jednak irytuje go ten pedant. Radca i Radczyni okazują za dużo uprzejmości zimnemu kuzynowi, a panna Maria bardzo często rumieni się pod jego wzrokiem, chociaż... i cóż to znaczy!... Nic, a przynajmniej prawie nic. Ludzie mówią wprawdzie, że pan Adolf skończył uniwersytet, że posiada dużo nauki, taktu i zdrowego rozsądku, lecz mówią i to, że pana Adolfa więcej zajmują obrazy *à vol d'oiseau*<sup>5</sup>, niż piękność panny Marii i jego własna powierzchowność — tymczasem on, pan

---

<sup>5</sup>*à vol d'oiseau* (fr.) — w linii prostej; tu prawdop. błędnie użyte w dosł. znaczeniu „z lotu ptaka”. [przypis edytorski]

Karol... On przecież jest urzędnikiem i bierze 400 rubli pensji, on ma kompletną i świetną a zawsze modną garderobę, umie grać trzy sztuczki na fortepianie, tańczy jak anioł, a nade wszystko posiada bardzo ładne mebelki i platerowaną cukiernicę.

Co za porównanie!... Toteż pan Karol nie wątpi o ostatecznej porażce swego przeciwnika wobec panny, jak nie wątpi i o tym, że gdyby sam Apollo<sup>6</sup> chciał w końcu XIX wieku przedzierzgnąć się w postać ludzką, wówczas niewątpliwie pożyczylby od niego, to jest od pana Karola, nie tylko fryzury i wąsików, lecz nawet lakierowanych kamaszy<sup>7</sup> z guzikami i okrągłego kapelusza z wentylatorem.

Mimo to przystojnego Karola dręczy blady Adolf, dręczy go tym więcej, że panna Maria jest dziś w złym sosie, prawdopodobnie z powodu obecności chłodnego kuzyna. Toteż pan Karol jak najusilniej i, we własnym przekonaniu

---

<sup>6</sup>*Apollo* (mit. gr.) — bóg słońca, tu występujący w roli symbolu męskiego piękna. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*kamasze* (daw.) — męskie obuwie z wysokimi cholewami. [przypis edytorski]

niu, jak najszcześliwiej stara się neutralizować ten zgubny wpływ, wije się jak pijawka między towarzyszami i przedmiot swoich marzeń bawi najwykwintniejszą i najdowcipniejszą rozmową.

— Oto już zbliżamy się do kresu naszej wędrówki — donosi uprzejmy Karol. — Za chwilę wyminiemy Solny Magazyn, młyn parowy i staniemy przy czółnach... Jak Wisła opadła!... Czy nie lęka się pani, abyśmy nie musieli przechodzić jej suchą nogą?

— Nie lękam się — uspokoiła go panna Maria.

— Uważam, że bardzo wiele osób idzie w tamtą stronę; będziemy mieli zatem dość liczne, lubo<sup>8</sup> niekoniecznie przyjemne towarzystwo... Policja powinna by zabronić kąpieli przy brzegu, po którym tyle dam przechodzi... Otóż i stacja... Co za tłum!... jakie mnóstwo czółen i żagli!... Cha! Cha!... Cha! Słyszę harmonijkę... Czy nie obawia się pani, abyśmy nie dostali miejsca...

---

<sup>8</sup>*lubo* (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

— Nie obawiam się — upewnia znowu wytrwałego mówcę panna.

W tej chwili grono nowych przyjaciół naszych dotarło do stacji, położonej u stóp parowego młyna. Stacja jest to dość brudny i błotnisty brzeg, zavalony stosami belek, gromadą pustych beczek, ogromną kupą drobnego zwiru i ciągle zmieniającym się tłumem amatorów na Saską Kępę, którzy przybywali z miasta, gapili się, wsiadali na czółna, ciesząc się przy tym wszystkim niewymownie i gadając niemiłosiernie.

Przez ten czas grzeczny pan Karol odczytuje pannie wypisane na żaglach statków tytuły i stara się jak najpopularniej objaśnić różnice między Jowiszem a Izabellą i Pod Kogutem, tudzież między *Zygmontem*, *Szybkobiegiem*, a *Salomońską Extrum*.

— Proszę pana!... Proszę państwa!... — wołali przewoźnicy — zara odjeżdżam!... Do kompanii!... Zara odpływam!... Już mam kilka osób!... Graj, Władziu!...

— I granie nie pomoże!... — odparł siedzący w jednym z czołen Władzio, o którym trudno było powiedzieć, czy więcej w tej chwili pracuje nad wydobyciem dźwięków z potężnej harmonijki, czy też nad utrzymaniem w równowadze swej własnej postaci, którą z dziwnym uporem ciągnęła do siebie woda.

Lecz mimo piękną, choć nie dosyć wyraźną grę wielkiej harmonijki<sup>9</sup>, mimo wymowne nawoływanie przewoźników, mimo niecierpliwości reszty towarzystwa, systematyczny Radca nie śpieszył się z powierzeniem kruchemu statkowi swoich i swej rodziny losów. Natomiast, jako człowiek lubiący i umiejący badać, dostrzegł on, że pewien mały chłopiec w barchanowych majtkach i przyszytym do nich takimże spencerku<sup>10</sup>, co czas jakiś uderza o puste beczki butami, trzymanymi w ręku. Dostrzegł również, że z rozmaitych otworów mły-  
na parowego wydobywają się w dość regular-

---

<sup>9</sup>*mimo piękną, choć nie dosyć wyraźną grę wielkiej harmonijki* — dziś popr.: mimo pięknej, choć nie dosyć wyraźnej gry wielkiej harmonijki. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*spencer* (daw.) — rodzaj krótkiej kurtki. [przypis edytorski]



nych odstępach czasu syczące prądy pary, i że z ogromnej kupy żwiru także dość regularnie stacza się na dół jakiś pełnoletni mężczyzna, usiłujący w niewiadomych celach dostać się tą drogą na górę.

— Proszę państwa na *Zygmonta*, bo zara odpływam! — przerwał dumania Radcy kapitan tak nazwanego statku.

— Panie Radco, już czas!... Mężu... Ojczulku, siadajmy!... — uzupełnili razem blady Adolf, tudzież małżonka i jedynaczka czcigodnego myśliciela.

Na te hasła pan Radca poprawił stojący kołnierzyk, podniósł ostro zakończoną brodę ku niebu i postawił nogę na krawędzi *Zygmonta*.

— Na *Izabelę*, wielmożny panie!... Do kompanii!... — wezwał Radcę inny kapitan, i otóż Radca postawił nogę na krawędzi *Izabeli*.

— Diabła warta, panie, ta skorupa, *Paryska Gondola*, to migdał!... — odezwał się trzeci kapitan, a Radca, uznając zapewne słuszność tej uwagi, wsiadł do *Szybkobiega*. Damy i dwaj

satelici młodszej z nich nie omieszkali naśladować tego przykładu.

Dokonawszy tak prostej, a jednak płodnej w następstwa czynności, pan Radca rozejrzał się po łódce i dostrzegł za sobą damę tak grubą jak rzeźnik, z mężem tak chudym jak pasternak, przy sobie jakiegoś telegrafistę z bardzo cienką szpadą i jeszcze cieńszym głosem, a przed sobą młodzieńca w kolorowej chustce na szyi i nicianych rękawiczkach, poważnie siedzącego obok pewnej starej damy z pieskiem, zwanym Pikol, który zadowolenie swoje z tak przyjemnego sąsiedztwa ogłaszał szczekaniem, przypominającym ostatnie chwile suchotników<sup>11</sup>.

— Spychaj! — krzyknął kapitan *Szybko-biega* na obdartego chłopca, stojącego w drugim końcu łodzi, po czym obaj, oparłszy nogi na brzegach statku, a lewe ramiona na długich drągach, wyciągnęli się jak charty, ale bez dalszych następstw.

---

<sup>11</sup>*suchotnik* — gruźlik. [przypis edytorski]

— Nie rusza się! — zauważył niedaleko siedzący pan Karol, a Radca bardzo uroczyście poprawił swój kołnierzyk.

Zapewne na widok tej tak stanowczej manifestacji kapitan zdjął zakurzone buty i wszedł po kolana w rzekę. Szczupły Radca zauważył przy tej sposobności, że nogi kapitana wyglądają tak, jak gdyby w okolicach Warszawy nie istniała ani kropelka wody, choć znowu całe zachowanie mężnego żeglarza było takie, jak gdyby korytem Wisły płynął najczystszy spirytus i gwałtem wlewał się w gardła właścicieli mniejszych i większych żaglowców.

Po kilkuminutowych nadwodnych i podwodnych usiłowaniach wioślarzy, para z mły-  
na buchnęła silniej, niż zwykle, barchanowy<sup>12</sup>  
chłopiec uderzył w beczkę butami głośniej, niż  
kiedykolwiek, pełnoletni mężczyzna z kupy zwi-  
ru stoczył się na dół szybciej, niż poprzednio,  
damy krzyknęły, ładny Pikol zawył, a *Szybko-  
bieg* wypłynął ku środkowi Wisły, skąd, po kil-  
ku bardzo umiejętnych obrotach w kółko, kil-

---

<sup>12</sup>*barchan* — rodzaj grubej tkaniny bawełnianej. [przypis edytorski]

kunastu prysznicach, spowodowanych uderzeniem wiosł o wodę, podróżni nasi dojechali do Saskiej Kępy bez żadnego szczególnego przypadku.

Wykwintny Karol, który w czasie żeglugi był jednym z tych, co najciszej siedzieli i najostrożniej (zapewne przez troskliwość o damy) badali głębokość wody, otóż uprzejmy Karol prawie najpierwszy dotknął nogą lądu i z niesłychaną elegancją podał rękę wysiadającej panie Marii. Nieszczęściem jednak, dziewczica, niewątpliwie zatopiona w kontemplowaniu przymiotów pana Karola, nie dostrzegła jego ruchu i wyskoczyła z łodzi, oparta bardzo poufale na ramieniu zimnego Adolfa. Tym sposobem przystojny i pełen dobrego tonu nasz bohater musiał poprzestać na połączonym z niejakimi trudnościami wysadzeniu Radczyni i podziwianiu bardzo kształtnej nóżki uroczej Mani, który to widok dziwnie mocno rozdmuchał w nim dawno już tlejące matrymonialne projekta. Szczęśliwy Karol ani na chwilę nie wątpił, że ekspozycja nóżki była wyłącznie prze-

znaczona dla niego, i że najwłaściwiej postąpi, oświadczając się pannie Marii albo zaraz na huśtawce, albo między podaniem raków i pieczonych kaczek z mizerią.

Ale cóż to?... Piękna Maria nie puszcza ręki bladego kuzyna... Zwiesza się na niej... Ba! Coś nawet szepce do ucha jej właścicielowi? Jest to już zbyt wyraźne kokietowanie pana Karola, który z tych oznak sprawiedliwie wnosi, że bądź co bądź nie należy dłużej trapić biednej dziewczyny, lecz nieodwołanie dziś jeszcze oświadczyć się jej...

Tymczasem para kuzynów rozmawiała z sobą w sposób następujący:

*Ona:* Czy koniecznie musisz iść do tego nieznośnego przyjaciela?

*On:* Wiesz przecie, moja droga, że jest chory i nie widziałem się z nim już od kilku tygodni...

*Ona:* Szkaradny jesteś, mój Adolfie!... Wracajże przynajmniej prędko, bo umrę z nudów...

*On:* Spodziewam się, że pan Karol nie pozwoli na to?...

*Ona:* Acha! Prawda... że mamy tu i pana Karola...

Po ostatnich słowach blady kuzyn żegna towarzystwo, z którego panna Maria przesyła mu najpiękniejsze spojrzenie, pani Radczyńni ukłony dla chorego przyjaciela, a pan Radca upomnienie, aby najpóźniej za godzinę przyszedł „pod Dąb” razem ze swoim przyjacielem.

Gdyby godziło się stosować wyrażenia nieprzyzwoite do ludzi eleganckich, to powiedzielibyśmy, że przystojny Karol głupiał coraz bardziej, widząc i słysząc to wszystko. Przebóg! Skądże znowu pochodzi poufałość panny i ta pewność kuzynka, który urocą i posażną dziewicę obojętnie wystawia na zaloty najpiękniejszego młodzieńca w Warszawie? Zdumiony Karol przegląda się w swoich lakierowanych kamazach, lecz poznawszy, że mu nic z wdzięków nie ubyło, staje obok panny i razem z nią, naturalnie pod bacznym dozorem troskliwych rodziców, puszcza się ku najświetniejszej restauracji na Saskiej Kępie.

\*

Uwolniwszy się od powagi Radcy, majestatu Radczyni i elegancji ładnego Karola, począł pan Adolf rozmyślać nad sposobami wynalezienia przyjaciela, który od kilku tygodni bawił<sup>13</sup> tu na letnim mieszkaniu. Dzięki wywieszanej przy drodze z woli wysokich władz gminnych tablicy, na której stało: „Wieś Saska *Kempa*, gmina Wawer, domów 28, ludności 164 itd.” p. Adolf nie mógł żadną miarą wątpić o tym, że znajduje się na Saskiej Kępie, jak również i o tym, że w całym obszarze wiedzy miejscowych władz administracyjnych niewiele więcej znajdzie dla siebie objaśnień. Gdzie tu więc szukać?... Jeżeli pójdzie w stronę Pragi, znajdzie łąkę, na niej trochę krów, starego i kulawego pastucha, kilku pijaków i sznur amatorów, ciągnących piechotą, wózkami i dorożkami ku miejscu wspólnej zabawy. Jeżeli drogą równoległą od Wisły będzie szedł w górę rzeki, zobaczy po prawej ręce gęsty i ciemny gaj drobnych wierz-

---

<sup>13</sup>bawić (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

bek i ogromnych topoli nadwiślańskich, wyrastających z piasku, a zaś po lewej chruściane płoty, ogrody warzywne i owocowe, budowle kryte słomą lub gontami, stogi na słupach, huśtawki, karuzele i altanki. Czekać na miejscu także się nie opłaci; tu bowiem zamiast chorego przyjaciela spotka gromadę bardzo zdrowych i krzykliwych gości, nieustannie wysiadających z czółen, błakających się między wysokimi drzewami, lub niknących we wnętrzu wiejskich domków. Cóż miał zatem robić? Naturalnie nic innego, tylko, naśladując zwykłych śmiertelników, razem z nimi wstępować do wili dla zasięgnięcia języka.

Oto stacja pierwsza. Chałupa, w dni świąteczne zmieniająca się w salon, a zbudowana dla ochrony od częstych powodzi na pagórku. Około bramy dwóch bardzo zemocjonowanych przyjaciół trzyma w objęciach trzeciego, na którego obliczu maluje się wielkie zniechęcenie do świata i znikomych rozkoszy. Na desce, przyczepionej do czterech sznurów, przywiązanych do belki, opartej na dwu słupach,



kołyszą się dwaj młodzieńcy z tak dziką energią, jakby mieli zamiar w jednej chwili pozbyć się wspomnień o ciepłym piwie, które już wypili, a zarazem przygotować miejsce na dozy, które jeszcze chcą wypić. Z wnętrza willi dola- tuje brzęk szkła, fortepianu i chaotyczny tupot danserów<sup>14</sup>. Na zapytanie o chorego przyjaciela p. Adolf odbiera odpowiedź, że w tym miejscu piwo jest lepsze od drozdowskiego i że ostatni wylew naraził gospodarza na bardzo dotkliwe straty.

Stacja druga. Na huśtawce dwie damy ko- łyszą się bardzo wstydliwie i gorzko narzekają na wiatr, który zawsze i wszędzie myśli tylko o zakłopotaniu płci pięknej. Na karuzeli kręci się kilkoro dzieci i mężczyzna w pewnym wie- ku, który usiłuje łapać floretem<sup>15</sup> kółka, lecz za pierwszym rzutem trafia w kapelusz jakie- goś eleganta, za drugim godzi w oko swej wła- snej żony, a za trzecim jest ściągnięty z konia i obsypany wymówkami, między którymi laski

---

<sup>14</sup>*danser* (z fr.) — tancerz. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*floret* — broń szermiercza. [przypis edytorski]

i pięści dość ważną odgrywają rolę. W sali gra fortepian i skrzypce, które stara się zagłuszyć pracująca w sąsiedniej altanie liczna orkiestra kozacka. Taktowny pan Adolf szybko ustępuje z miejsca, w którym obecnie między kilku przyjaciółmi wszczęło się małe nieporozumienie, spowodowane niewłaściwym użyciem kufła.

Stacja trzecia. Słychać przyjemny głos fletu, wspomaganego przez trąbę, śpiewającą tylko dwoma basowymi tonami. Okna sali wypełnione są gośćmi, którzy nie bez uczucia lekkiej zazdrości podziwiają zręczność pływających tancerzy. Chłodny p. Adolf, umieściwszy się obok innych, spostrzega naprzód dwóch mężczyzn, walczących tak, jakby nogami ubijali kapustę; dalej jakąś parę, której piękniejsza połowa zdaje się opierać brodę na czole połowy silniejszej; potem znowu parę tańczącą bez żadnych oznak szczególnych; potem dwie damy, usiłujące okazać, że lekceważą sobie wszystkich tancerzy męskich, a wreszcie jakąś miłą panienkę, zwieszoną na szyi pewnego młodzieńca, w któ-

rym pan Adolf poznaje bardzo dobrą znajomość. Młodzieniec, dostrzegłszy taktownego Adolfa, mocno rumieni się, zapewne ze zmęczenia, puszcza na środku nierównej podłogi swoją pończętą tancerkę, wybiega do przyjaciela, wita go najserdeczniej, upewnia go za pomocą bardzo silnych argumentów o cnocie miłej panienki, a wreszcie donosi, że wspólny ich przyjaciel chory mieszka na końcu Saskiej Kępy, w domku, otoczonym wysokimi drzewami, gęstymi zaroślami i bardzo piękną łączką. Opowiedziawszy to wszystko, wraca do sali po miłą i cnotliwą panienkę i uroczyście wyrzekając się tańców w kółku plebejuszowskim, prowadzi ją do innej willi, aby tam dokończyć niespodzianie przerwanego walca, a zacząć polkę albo oberek, o ile figurują w repertuarze miejscowych muzyków.

Spory kawałek czasu upłynął, nim p. Adolf, wyminąwszy wiele ogrodów, gaików, pól i łączek, na których: „pod wszelką odpowiedzialnością lub karą policyjną zabrania się chodzić lub wydeptywać trawę”, znalazł wreszcie rezy-

dencję chorego przyjaciela, a przed nią małego kota z sierścią bardzo dokładnie oskubaną przez psy, kilka prosiąt również oskubanych i starą kobietę, stojącą z rękoma założonymi na brzuchu. Nastąpiła wymiana pytań i objaśnień:

— Czy tu mieszka pan X?...

— Może i tu, abo co? — zagadnęła kobieta.

— Chciałbym się z nim zobaczyć.

— Tera nie można, bo pan wyszedł do lasu.

— A możebyście go poszukali?

— Kto go ta bandzie sukoł!

— A czy prędko wróci?...

— I tego nie wiadomo. Może prandko, a może nie prandko, kto go ta wi!...

Po długich certacjach<sup>16</sup>, w ciągu których dobra kobiecina wyraziła obawę, aby domu przy święcie nie okradziono, znalazł się wreszcie posłaniec po chorego przyjaciela, a p. Adolf, zaleciwszy, aby go w stosownym czasie wezwano, odsunął się dla chwilowego odpoczynku, o kilkadziesiąt kroków od domu między zaro-

---

<sup>16</sup>certacje (daw.) — nieszczerze wymawianie się czegoś. [przypis edytorski]

śła. Jakoż prędko wynalazł odpowiedni pagórek, zdjął nieco przyciasne kamasze i zwróciwszy twarz ku niebu, wpadł w głębokie zamyślenie, połączone z głośnym chrapaniem.

\*

Jeżeli istnieje raj ziemski, to jest nim niezawodnie kolonia „pod Dębem”. Cudna ta miejscowość, obok win „we wszystkich gatunkach”, limonady, biszofu<sup>17</sup>, piwa kulmbaskiego, kilku altanek, mnóstwa stolików i ławeczek, lokaja we fraku, dwu huśtawek i jednej karuzeli, posiada jeszcze strzelnicę z dwiema tarczami i wiatrówką, tudzież kanał z czółnem, w którym doskonale można by jeździć, gdyby nie brakło wody. Wykwintny Karol bawi tam już z półtorej godziny, wespół z szanownym Radcą i jego damami i stara się rozproszyć ich niepojętą melancholię swoim niezrównanym dowcipem, swoją zręcznością w używaniu huśtawki, a wreszcie całą swoją osobą ze wszystkimi nieocenionymi jej przymiotami.

---

<sup>17</sup>*biszof* — napój alkoholowy na bazie wina i araku, z dużą zawartością ziół.  
[przypis edytorski]

Przy tym piękny Karol nie zasypia gruszek w popiele i już po raz trzeci stara się upewnić pannę Marię o swojej czułej sympatii. W tej chwili na przykład widząc, że kuzynka gospodyni kraje ogórki, mówi:

— Czy pani lubi mizerię, panno Mario?

— Tak sobie!...

— O, bo ja lubię, a szczególnie pokrajaną pięknymi rączkami...

Jakże zazdroszczę tym, którzy mają ukochaną żonę przy boku...

— Ach, mamó! Dlaczego ten nudny Adolf nie przychodzi? — przerywa urocza Mania.

Pan Karol triumfuje, rozumie bowiem aż nadto dobrze, co znaczy ten dziewiczy wybieg.

— A możebyśmy się na karuzeli pokręcili trochę? — pyta poważny Radca.

Damy wahają się, lecz gdy elegancki Karol dowodzi im, że dla serc sympatyzujących ze sobą nie ma większej przyjemności, niż razem kręcić się w kółko, ulegają i całe towarzystwo zajmuje miejsca na rozkosznej machinie.

Niewiele już brakowało do zupełnego kompletu osób, ostatnią więc ławkę wolną zajęła pani Radczyni z córką, za nimi na kasztanowatym koniu umieścił się Radca z powagą ministra skarbu, a przed nimi bułanego konia opanował p. Karol. Że jednak nie zdawało mu się dość przyzwoite siedzieć tyłem do dam, usiadł więc do nich obliczem, a tyłem do końskiej głowy.

— Niech pan tak nie siada — ostrzegł go maszynista od karuzeli — bo można zlecić!...

— Panie Karolu! — powtórzyła przestrozę ponętna Mania — niech pan dobrze usiądzie...

— Ruszaj! — zakomenderował mężny Karol. — O pani! — dodał — mógłbym na jedną chwilę wyrzec się...

Nim dokończył, machina weszła w ruch, i w tej samej chwili ładne wąsiki p. Karola zetknęły się z ogonem bułanego<sup>18</sup> konia, nogi młodzieńca zakreśliły w powietrzu wdzięczną linię krzywą, a cała postać naszego bohatera znalazła

---

<sup>18</sup>*bułany* — określenie żółtawobrazowej maści konia. [przypis edytorski]

się na ziemi z obliczem zwróconym ku najwyższemu punktowi sklepienia niebieskiego.

W tej pozycji pan Karol dostrzegł szybko przelatujące nad nim buciki panny Marii, potem obcasy pana Radcy, dalej trzewiki dwu panienek, później kamasze jakiegoś obywatela, a następnie kilka rozmaitych sztuk wszelkiego innego obuwia.

Na krzyk dam zatrzymano karuzelę, a zręczny pan Karol, powstając jak gdyby nigdy nic nie zaszło, uchwycił w pośpiechu za nogę jakąś pensjonarkę, zawadził głową o jednego z czterech koni i odszukawszy swój wentylacyjny kapelusz, rozkazał się wytrzepać parobkowi. W kilka minut po tym drobnym wypadku, który dziwnie przyczynił się do podniesienia poziomu ogólnej wesołości, znajomi nasi siedzieli w przezroczystej altanie. Radca obstalował kaczki, a elegancki Karol od kwestii kaczek bardzo szczęśliwie przeszedł do kwestii dwu serc sympatyzujących z sobą.

— Mój Boże! — przerwała mu panna Maria — już prawie słońce zachodzi, a Adolfa jesz-



cze nie ma... Przecież bez niego nie będziemy jedli podwieczorku?...

— A to dlaczego? — odparł bardzo stanowczo Radca, widocznie czujący pewną słabość do kaczek. — Jeżeli lepiej bawi się z przyjacielem, niż z nami, no... To niechże się bawi!...

Domyślny Karol zrozumiał, co to znaczy i z lekka zatarł łokieć lewej ręki, noszącej prawdopodobnie ślady konnej jazdy.

— Panie Karolu! — zaczęła znowu Mania z lubym uśmiechem. — Czy nie zrobiłby pan nam małej grzeczności?...

— Jestem do usług pani...

— Czy... nie byłby pan łaskaw poszukać Adolfa?... — dodała z jeszcze ponętniejszym uśmiechem dziewczica. — Byłabym panu bardzo obowiązana....

— Maniu... — wtrącił surowo Radca.

— Zapewne, że to niegrzecznie — uzupełniła Radczyni — gdyby jednak pan był łaskaw...

Dziwne uczucie, podobne do wbicia podwójnej szpilki, przeszło serce Karola. Skąd ta troskliwość o bladego i obojętnego kuzyna, a wreszcie, gdzie on ma go szukać?... Nie było jednak rady, pełen więc dobrego tonu nasz przyjaciel wstał z wdziękiem i rozpoczął poszukiwania przedwstępne.

Los mu pomógł, zaraz bowiem w bufecie spotkał pewnego znajomego Adolfa, który w towarzystwie miłej panienki, tytułowanej kuzynką, przyszedł zobaczyć, jak też tańczą „pod Dębem”. Znajomy ten doniósł, że przy innej willi (gdzie także przypatrywał się tańczącym), spotkał Adolfa, szukającego mieszkania chorego przyjaciela, którego bardzo dokładny adres dał i panu Karolowi.

Zdobywszy adres, piękny Karol zasięgnął od jakiegoś tubylca wiadomości o kierunku drogi, przy czym nie omieszkał zadać mu kilka innych pytań:

— Czy... uważasz, mój przyjacielu, czy w tych stronach nie trafiają się jakie dzikie zwierzęta?...

— Jakoś nie słychać, choć kto ich tam wi!...

— odpowiedział tubylec.

— Hum!... A czy... to jest... czy nie bląkają się tu jakie włóczęgi, ludzie podejrzani?

— Gdzie ta ich brakuje!... — odparł badany.

Nie umiemy powiedzieć, o ile oświadczenie to zachęciło pana Karola do poszukiwań, pewne przecież jest, że bohater nasz po krótkim namyśle dodał:

— A czy nie mógłbyś, mój przyjacielu, pójść ze mną w tamtą stronę... Tak dla pokazania drogi?...

— Jo tam ni mam casu!... — ofuknął tubylec i poszedł dalej.

Nic już nie pozostawało panu Karolowi, tylko także wyruszyć w swoją stronę, co uczynił, pogwizdując jakąś wesołą aryjkę. Ledwie jednak wysokie drzewa zakryły przed nim restaurację „pod Dębem,” kiedy nagle przystanął, ostrożnie obejrzał się dokoła i... wydobył z kieszeni długi składany nóż, który niezwłocznie otworzył.

Zadrżałby ten, kto by mógł zobaczyć uśmiechniętą zwykle twarz Karola, wówczas gdy ścisnął błyszczącą stal w białej i delikatnej ręce...

Biedna Maria!...

\*

Słońce zachodzi, oblewając ziemię i kłębiące się chmurami niebo światłem koloru rozpalonej miedzi. Między zwieszonymi liśćmi drzew, wśród ciszy poprzedzającej burzę, rozlega się trwożliwy pisk ptaków, cichy brzęk komarów i dalekie odgłosy wesołej zabawy.

Na zielonym wzgórzu, otoczonym gęstymi krzakami i potężnymi topolami, zwrócony bladą twarzą ku niebu, śpi głęboko jakiś młodzienc, należący, ile z ubrania sądzić można, do dostatniej klasy społeczeństwa. Obok niego, bliżej głowy, leży kapelusz, bliżej zaś nóg kamasze, które zdjął z powodu gorąca.

Biedna Maria!...

Nagle na tej samej drobnej, szmaragdowej łączce ukazał się jakiś cień w jasnych spodniach,

ciemnej marynarce, okrągłym kapeluszu z wentylatorem, z błyszczącym nożem w ręce....

Zobaczywszy śpiącego, cień zadrżał, na chwilę stanął, zbliżył się, pochylił nad śpiącym, wykonał kilka ruchów i znikł w zaroślach...

O biedna, biedna Maria!...

\*

Niebo zaczęło się coraz więcej zachmurzać, a goście coraz liczniej opuszczają restaurację „pod Dębem”, gdy systematyczny Radca, ogryzłszy ostatnią kostkę zgłodzonej dla niego kaczki, zakomenderował odwrót do miasta.

— Ależ ojczulku! — prosiła prawie ze łzami Mania — jakże możemy odjechać bez Adolfa?... Przy tym i pan Karol jeszcze nie wrócił...

— A, to trudno!... Ja temu nie winienem, żeś się uparła z wysłaniem Karola — odpowiedział Radca. — Zresztą nic im się nie stanie, nie są dziećmi... No, w drogę, moje panny, bo nas burza zaskoczy!...

W tej chwili między drzewami ukazał się pan Karol, którego twarz prawdopodobnie skut-

kiem zapadającego mroku wyglądała dziwnie ponuro.

— Cóż Adolf?... Czy nie znalazł pan Adolfa?... — zapytała niespokojnie panienka.

Zdawało się, że wykwinnty młodzieniec zrozumiał w tej chwili zgrozę straszliwego pytania: „Kainie, gdzieś podział brata?”

— Och!... — przerwał niecierpliwy Radca — pewno nawet mieszkania nie znalazł... No, chodźmy!...

— Tak... zablądziłem... Nie znalazłem!... — odpowiedział pan Karol, jakby dławiąc się wyrazami.

W tej chwili zahuczał daleki grzmot, elegant drgnął, a całe towarzystwo ruszyło ku Wiśle.

— Co się panu stało, panie Karolu? — spytała nagle pani Radczyni — pan masz mankiet zakrwawiony?...

— No, no... Chodźmy, chodźmy!... — zrzędził Radca. — Kto spadł w takim pędzie z karuzeli, ten mógł sobie całą nawet koszulę zakrwawić...

Nikt nie wątpił o słuszności tego objawienia, bo z jakiej racji miał wątpić? Lecz rumiana twarz p. Karola staje się teraz trupio biała... Czy może pan Karol jest zbyt wrażliwy na błyskawice i grzmoty, coraz częściej po sobie następujące? A może myśli, że i teraz jeszcze na pewnym szmaragdowym pagórku leży jakiś człowiek z bladą twarzą i zaciśniętymi pięściami?...

Wśród gwałtu tłoczących się gości, znajomi nasi zdobyli łódkę i opuścili Saską Kępcę. Ujechawszy kilkanaście kroków, widzieli oni u brzegu inne czółno, którego weseli pasażerowie dysputowali z sobą bardzo krzykliwie i tytułowali się bardzo poufale. Oho!... Nie koniec na tym, widać bowiem spadający w wodę kapelusz, za którym skacze naprzód jeden mężczyzna, za nim drugi, a kiedy pierwszy usiłuje wejść na statek, wśród klątw i śmiechów przybywa im do towarzystwa jakaś dama...

Teraz słyhać nawet oklaski; jeden... drugi, i otóż rozpoczyna się rzęsiste brawo, w którym

biorą udział ręce kilku osób i fizjognomie kilku innych...

Ale płynący znajomi nasi, prawie że nie zważają na tę rozrywkę bliźnich, pozostałych na brzegu, bo błyskawice świecą i grzmoty huczą ze wszech stron. To też pełen godności Radca i majestatyczna Radczyni modlą się gorliwie, biedna Mania ledwie hamuje łzy, a wykwinny Karol?...

Wykwinny Karol, siedząc na brzegu łodzi i drżąc na całym ciele, ostrożnie wydobywa z kieszeni duży składany nóż i... puszcza go w wodę!...

— Panie! — woła ktoś siedzący z tyłu — panu coś wypadło... Czy nie klucz?...

— To nóż — objaśnia ktoś drugi.

— Dobrze zrobił — chwali trzeci — znać wie, że w czasie burzy źle chodzić z żelastwem....

Podróżni zaczynają się śmiać, uśmiechają się nawet Radca i Radczyni, uśmiecha się i smutna Mania, a pan Karol wygląda tak, jakby chciał za swoim nożem pójść w wodę.



Nareszcie wylądowali; czas już był wielki, bo połowa nieba szerniała jak węgiel i dmuchnął wicher gwałtowny. Szczęściem, spotkano dorożkę, która za stosowną zapłatą podjęła się odstawić znajomych naszych do domu.

\*

Dobrą już godzinę syczał w mieszkaniu Radcostwa samowar, nim z burzą spadli państwo mogli z usług jego skorzystać. Razem z wejściem ich w bramę, lunął deszcz i zahuczały pioruny, uprzejmy więc gospodarz musiał zaprosić wielbiciela swej jedynaczki na wieczór.

Lecz obecność eleganckiego Karola nie ożywiła bynajmniej towarzystwa. Radczyni mruzczała pacierz, Radca opatrywał okna, Mania wzdychała, a wykwintny ich gość pił herbatę, jeżeli szczerkanie zębami o brzeg szklanki może się nazwać piciem.

Wtem na schodach usłyszano łoskot...

Na ten odgłos panna Maria zerwała się od stołu, pan Karol zsiniał, a w otwartych drzwiach ukazał się...

— Adolf! — zawołała panna.

— Adolf! — powtórzył Radca z małżonką.

Trudno zgadnąć, czy to skutkiem nagłego zjawienia się bladego kuzyna, czy też skutkiem prawie współczesnego uderzenia piorunu, elegancki Karol stracił zupełnie przytomność. Fioletowe usta jego były otwarte, oczy szklane.

— Tak późno, kuzynku!... — szepnęła z najśłodsza wymówką panna.

— Nie mogłem wcześniej, bom musiał wysuszyć kamasze, które mi „ten pan” rzucił w błoto — odpowiedział chłodny Adolf, wskazując zmartwiałego Karola.

— W błoto?... A to jakim sposobem?... — pytał zdumiony Radca.

— Czekaając na mego przyjaciela, zdjęłem kamasze, bo mnie piekły, i zdrzemnąłem. Wtedy „ten pan” przyszedł, obejrzał mnie, a myśląc zapewne, że śpię...

— W jakimże celu? — dziwił się znowu Radca.

— W bardzo prostym — odparł niełitościwy Adolf — ażeby mnie ośmieszyć w oczach narzeczonej...

— Ciebie?... „Ten pan”? — przerwała uszczypliwa Mania. — „Ten pan”, który się tak grzmotów boi, że aż rzucił swój scyzoryk do wody?

Po takim *dictum*<sup>19</sup> „temu panu” wyjaśniło się nagle dużo ciemnych tajemnic. Nie czekając więc dalszego ciągu, chwycił kapelusz i znikł z pokoju wśród śmiechu pozostałych osób.

Na schodach jednak ocknął się, a wiedząc, że pioruny niekiedy uderzają w ludzi szybko biegnących po ulicy, wszedł do skromnej komóreczki stróża, aby tam przeczekać ulewę.

---

<sup>19</sup>*dictum* (łac.) — dobitna wypowiedź. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/prus-na-saskiej-kepie>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Prus, Nowele Warszawskie, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Londyn 1946

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Koziół, Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

Okładka na podstawie: Untitled, Kuba Bożanowski@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0742-6

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji